Lwów, 15. sierpnia 1894. IV. Rok istnienia.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi we Lwowie:
Rocznie . . . 6 złr. — ct.
Półrocznie . . 3 „ — „
Kwartalnie . . 1 „ 50 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 25 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się.
Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

# MYŚL

## DWUTYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.
Rocznie . . . 6 złr. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 „ 65 „
w Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3·50.
We Francyi:
Rocznie 16 fr. — kwartalnie 4 fr

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct za następny.

Redakcya i Administracya we **Lwowie** przy ul **Kościuszki** l. 6 gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie: Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: **Plohna i Olszewskiego oraz w kioskach na wystawie.**

## Literatura i teatr

### na Wystawie krajowej.

Wchodząc na pierwsze piętro pawilonu piśmiennictwa, mijamy kolekcyę amatorów fotografii, przytuloną dość skromnie pod schodami. Członkowie lwowskiego klubu miłośników sztuki fotograficznej urządzili w tem miejscu zbiorową wystawę swych prac, przeważnie zdjęcia krajobrazów. W liczbie wystawionych tu okazów wyróżniają się korzystnie prace p. Stanisława Matkowskiego, zdjęcia dokonane z placu wystawy, w chwili jej uroczystego otwarcia, przez kapitana Adama Pigro, wreszcie reprodukcye wykonane przez pp. Jana Stromengera i Stanisława Piegłowskiego. Wchodząc po dość stromych schodach na górę, spotykamy w klatce schodowej wystawę produktów fotograficznych O. Ludwika (Neuilly-Plaissance) i przez otwartą galeryę dostajemy się do pierwszego pokoju, zapełnionego niemal wyłącznie przez wystawy fotograficzne. Króluje tu wśród fotografów z zawodu artysta amator p. B. Tyszkiewicz, który z wielkopańską fantazyą zestawił celniejsze okazy swych prac, wywołujących niekłamany zachwyt wśród szerszych mas gości, zwiedzających ten oddział. U wstępu samego witają nas natomiast wystawy: Józefa Jahudki (Wiedeń), Edwarda Troczewskiego (Warszawa), Nahrymowicza (Czerniowce) i jednego z najstarszych naszych fotografów, Edwarda Trzemeskiego. Całość ekspozycyi fotograficznej urozmaicają wystawione w gablocie na środku oprawy gustowne z introligatorskich pracowi Repetowskiego i Roberta Jahody (Kraków).

W drugim pokoju drzwi strzegą przepyszne egzemplarze żydków kołomyjskich, odtworzonych w naturalnej wielkości przez tamtejszy zakład fotograficzny Jurkiewicza. Następują z kolei ekspozycye fotograficzne: Juliusza Miena (Kraków) i K. Strzeleckiego, tudzież ciekawa w swoim rodzaju wystawa wiedeńskiej fabryki czcionek drewnianych Stanisława Błedkowskiego. Zbiór bogaty widoków z okolic Słucka i Nowogródka, wystawiony przez Borettiego, graniczy z wielką wystawą zakładu fotograficznego D. Mazura, specyalisty w odtwarzaniu typów kobiecych. Główki pięknych lwowianek przeważają przeto w tej wystawie, jakkolwiek nie brak w niej i figur brukowych i próbki zdjęcia, dokonanego przy świetle magnezyowem. Na tej samej ścianie, obok produkcyi Mazura, pomieszczono prace kaligraficzne Józefa Jana Szima, urzędnika wydziału krajowego. P. Szim, prócz wzorów pisma, przedstawił certyfikat szlachectwa. Widniejący na tym akcie herb Dołęga zaszczyt mógłby przynieść zawodowemu miniaturzyście. W przeciwległym kącie wabią oko świeżością barw i drobiazgowością wykończenia fotominiatury pastelowe Stefana Grzywińskiego, cieszące się od dawna ustaloną reputacyą. Waschitza rysunki piórkiem, fotografie „Olgi“ (Wiedeń) i druki Schlafriga tworzą dalszy ciąg okazów porozmieszczanych pod ścianami, podczas gdy środek komnaty zajmują gabloty i szafki z oprawami Oleksincera (Tarnopol), z litografiami Miziewicza (Kołomyja) i z wydawnictwami drukarni Józefa Styńego z Przemyśla. Poważne oblicza ojców miasta Lwowa reprodukowane przez J. Popiela, znajdują się w najbliższem sąsiedztwie z wystawą introligatorską L. Wierzbickiego, zawierającą przepysznie oprawne adresy i dyplomy.

Na tem kończymy przegląd pawilonu piśmiennictwa, by wychodząc rzucić z galeryi raz jeszcze okiem na prześliczną panoramę Lwowa, roztaczającą się przed nami. Pięknie bo wygląda, poczciwy Lwigród — zwłaszcza z przyzwoitej odległości...

Nie zaspokoiwszy dostatecznie naszych pragnień pod względem okazów literatury i publicystyki, nagromadzonych w tym pawilonie, pocieszamy się nadzieją bardziej dodatnich wrażeń, które niezawodnie zdobędziemy w grupie dwudziestej siódmej, mieszczącej w sobie — według katalogu — zabytki pamiątkowe, odnoszące się do muzyki tudzież przedmioty, dotyczące rozwoju sceny narodowej. Wystawa muzyczno-teatralna mieści się w gmachu przemysłowym, po obu stronach galicyjskiego Towarzystwa handlowego.

Na prawo w osobnej niży, ustawiono gabloty, zawierające w sobie ciekawsze zabytki z przeszłości muzyki w Polsce. Jest tu więc przedewszystkiem zbiór p. Władysława Węzelaczyńskiego, zawieracy dzieła odnoszące się do teoryi z historyi muzyki, rzadkie stare druki muzyczne (np. pieśń o Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skały, datująca się z r. 1556), zbiór publikacyi, odnoszących się do Chopina, tudzież ciekawy dział starożytności.

W dalszych gablotach widzimy za szkłem druki i rękopisy muzyczne dostarczone przez bibliotekę uniwesytetu Jagiellońskiego, wśród których znajduje się też wyciąg fortepianowy z pierwszej opery polskiej, „Z Nędzy uszczęśliwionej“ Kamińskiego. Tuż obok spotykamy zbiór kompozycyi obcych, przeważnie włoskich, z wieku ośmnastego, pochodzących ze zbioru dawniej ks. Lubomirskich, z Łańcuta. Osobną całość tworzą rękopisy dzieł żyjących kompozytorów, sąsiadujące z antyfonaryami i kancyonałami, ormiańskiemi, łacińskiemi (z Tyńca) i ruskiemi, wystawionemi przez tutejszą bibliotekę uniwersytecką. W odrębnym zaś przedziale obok autografów Chopina, Władysława Tarnowskiego („Achmet“) spoczywa też oryginał pierwotnej partytury „Halki“.

Rękopis ten, zaofiarowany około roku 1860 przez Moniuszkę Bonoldiemu, przechodził przez rozmaite ręce, zanim w roku 1873 zaofiarowany został przez p. Karłowicza poznańskiemu „Towarzystwu Przyjaciół nauk“.

Ściany niży pokrywają portrety olejne i szkice, przedstawiające główniejszych działaczów w tutejszem towarzystwie muzycznem. Są tu więc portrety: Kątskiego, Ruckgabera, Mikulego, dyrektora Szwarca (rysunek Grottgera) i flecisty Jackowskiego. Pod niemi zawieszone zwracają oko widza: naszkicowany przez Lenbacha portret Kochańskiej, szkic ołówkiem przedstawiający Paderewskiego i portret Henryka Wieniawskiego, dzieło Młodnickiego. Drugą ścianę, zajętą chwilowo przez rozwieszone nuty pokryją już w najbliższej przyszłości tableau, zawierające fotograficzne podobizny wydziału, grona profesorskiego, chóru orkiestry, oraz członków honorowych towarzystwa i konserwatoryum muzycznego we Lwowie. Trzecią ściankę tego oddziału zajęły portrety: Żeleńskiego i Marka (pędzla Leopolskiego) tudzież fotografie pp. Souwestrów „Echa“ pań: Camillowej i Nowakowskiej, wreszcie skromna fotografia przedstawiająca pierwszą Halkę na tutejszej scenie, Filomenę Kwiecińską (z roku 1867). Minąwszy okazałych rozmiarów pult kościelny, datujący się prawdopodobnie z siedmnastego wieku a przysłany z Biecza, stajemy przed wystawą „młodej i ruchliwej“ — jak ją zwą kronikarze pism codziennych — firmy księgarskiej, Jakubowskiego i Zadurowicza, skupiającej w swem ręku nakłady wszystkich nowszych kompozycyi pp. Galla, Niewiadomskiego, Sołtysa i Wszelaczyńskiego. Za ową wystawą, w kątku ukryta skromnie lwowska „Lutnia“ zaprodukowała fotograficzne podobizny swych uczestników. Obok grupy członków „Lutni“ zawieszono portret popularnego kompozytora tańców p. Wrońskiego, tudzież zbiór fotografii pracowników sceny im. Fredry w Stanisławowie, pozostającej od grudnia roku zeszłego pod kierownictwem p. Antoniewskiego. Wachlarz z fotografiami artystek i artystów polskich, wydany przez firmę Stanisława Köhlera, zamyka ten dział wystawy.

Przejdźmy z kolei na lewą stronę sali. I tu w zacisznym kątku zawieszono portrety Paderewskiego, Stojowskiego, Leszetyckiego, Żarzyckiego, Moniuszki i Chopina, ustawiono biusty Żeleńskiego i Müncheimera. Na przeciwległej ścianie widzimy fotografie zbiorowe towarzystw muzycznych w Przemyślu, w Tarnopolu, w Sanoku, w Brodach i w Krakowie, tudzież artystów sceny warsawskiej. Medaliony Chopina i Mikulego urozmaicają dekoracyę ścianek tego przedziału, w którym znajdują się nadto: cytra klawiszowa, rzekoma własność przed laty królowej Marysieńki, organki z Starego Sącza i zawieszone nad niemi: skrzypce zakopańskie Sabały i teorban ukraiński. Stara huśla, ustawiona osobno pod ścianą zwraca na siebie uwagę ogółu zwiedzających, zaś w osobnej oszklonej szafce złożono instrumenty ludowe: lirę, cymbały, bandurkę i skrzypce przez włościan używane, pospołu z wiolenczelą, starowłoskiemi skrzypcami i z t. z. *Glockenspiel*, zachowanym w tutejszem towarzystwie muzycznem, jako pamiątka po Mozarcie. Drugi przedział po lewej stronie zapełniają: dwanaście fotografij z wystawy teatralno-muzycznej w Wiedniu, oraz dwa tableau, przedstawiające artystów dramatu i opery lwowskiej.

Środek między oboma przedziałami wypełniają fortepiany: z fabryk Karola Mareckiego (Lwów), Franciszka Woronieckiego (Przemyśl) i Jana Drozdowskiego (Kraków), harmonia Teofila Kotykiewicza, wreszcie narzędzia muzyczne, wyrabiane w pracowni Karola Ferdynanda Langa, weterana tutejszej orkiestry teatralnej i Gustawa Hausslera (Kraków).

W tem też miejscu zauważyliśmy harmonię z fabryki Jana Śliwińskiego, która pierwsza w kraju rozpoczęła wyrób harmoniów. W ciągu ośmnastoletniego istnienia zakładu, zbudowano w nim sto organów i około 300 harmoniów rozmaitej wielkości. W fabryce p. Śliwińskiego pracuje stale dwudziestu robotników, zaś o dobroci jego wyrobów świadczą chlubnie liczne medale i odznaczenia, pozyskane na wystawach krajowych i zagranicznych.

W ogóle dział ten wystawy świadczy o zabiegliwości odnośnej sekcyi urządzającej, pozostającej przed przewodnictwem dr. Aleksandra Tchórznickiego a zastąpionej bardzo fortunnie przez pp. Niewiadomskiego i Wszelaczyńskiego. O ile wszakże korzystnie wypadła wystawa części muzycznej, o tyle jaskrawiej odbija od niej ubóstwo działu teatralnego. Teatr odgrywa w tym dziale wystawy tę samą rolę, co publicystyka w pawilonie piśmiennictwa. Nie mamy sobie nawzajem nic do wyrzucenia...

*Stanisław Pepłowski.*

## Ruch gmin na Rusi w wieku trzynastym.

(M. Serhijenko: Hromać kyj ruch na Ukraini w XIII. wici. Lwów 1894.)

„Uderzano w dzwon i niby roje, ludność gromadziła się na placu. Z mieszkań płynęli młodzi, starzy. Wszystkie sprawy poddawano pod obrady ogółu, decyzye zapadały za zgodą przeważającej większości. Był to samorząd bardzo szeroki“.

Tak opisują dziejopisarze Rusi, ustrój polityczny ich ziemi w okresie przedksiążęcym. Takim mniej więcej znajdujemy go wśród ludów, u których zachowała się do pewnego stopnia organizacya rodowa.

Ale gdy za współdziałaniem czynników ekonomiczno-społecznych, wytworzyła się w miastach ruskich władza książąt, stan ów uległ zmianie. Instytucye demokratyczne jęły zanikać. Nie runęły wprawdzie odrazu, jak ścięte drzewo, lecz utraciły stopniowo wierzchołki, konary. Książę i jego drużyna zasiedli na miejscu wiecu. Powstawała przeciw nim gmina, protestowała czynnie i biernie, uległa nareszcie jako słabsza.

Mimo to, po kilku wiekach zarysowała się bardzo silnie dążność przywrócenia ustroju.

W jedenastem i dwunastem stuleciu, kroniki notują kilkakrotnie objawy żywotności gminnej. Notatki odnoszą się przeważnie do ziemi kijowskiej. W Haliczu Romanowicze szybko ugruntowali swą potęgę, w Czernihowie, Perejasławiu i na Wołyniu, wiece występują tylko wtedy, gdy idzie o wybór lub zatrzymanie dawnego księcia. Kijowianie dzięki ustawicznym walkom o tron w Kijowie, wolniejsi, postąpili nieco naprzód. W r. 1068 żądają od panującego podjęcia walki z Połowcami, w r. 1146 domagają się od Igora usunięcia ze stanowiska niesumiennych jego urzędni-



**Widok na część Wystawy — i wieża wodna.**

ków, co więcej wzywają Iziasława, aby wygnał niesympatycznego dla nich księcia. Wstępującym na tron dyktują swe zazwyczaj skromne desiderata, w razie wojny władca, chcąc zwiększyć zastępy wojownikami ziemi, musi zwracać się o pozwolenie do wiecu.

Literatura zachowała w kilku urywkach myśli ówczesnego ogółu. „Gdzie prawo, tam wiele krzywd", uczy jeden z pisarzów XII. wieku. Inny zaleca: nie miej domu blizko książęcego domu, nie osiedlaj się w sąsiedztwie włości księcia. Bo tiun jest niby ogień z hubki, jego podręczni to iskry. Spalą cię".

Ruch energiczny wywołały okoliczności.

W trzeciem dziesięcioleciu wieku trzynastego zjawił się na stepach, zajmowanych poprzednio przez

Połowców, nieznany dotąd naród. Byli to Tatarzy. Podbiwszy osady rozrzucone na bezleśnej przestrzeni, prawdopodobnie już słowiańskie, rzucili się na ziemie właściwie ukraińskie. Związek książąt stawił im czoło. Ale szybkie, uderzające jak strzały zastępy, rozbiły armię konfederacyjną i cisnęły popłoch na całą Ruś. Książęta poczęli myśleć o zgodzie z sobą. Naraz zwycięzcy z przyczyn niewyjaśnionych cofnęli się. Zalali Ukrainę dopiero w r. 1239, jedno skrzydło ich sięgało wówczas Szląska, drugie Węgier.

Pisane przez zaprzyjaźnionych z książętami mnichów kroniki przedstawiają napady owe w barwach zbyt ponurych. Zapewne, ciągnęły z hordami razem mordy i pożoga. Padały w gruzy miasta, pustoszały zasiewy. Ale nie lepiej było, gdy kniaziowie z sobą wojny toczyli. Toczyli zaś ich niemało. Łzy lane przez latopisców opłakują przedewszystkiem niedolę władców.

Tej okoliczności należy przypisać skąpą ilość wiadomości odnoszących się do ruchu gmin. Za podnietą Tatarów poczęto marzyć o przywróceniu samorządu. Oświecona warstwa prawie nie istniała, odbiło się to bez wątpienia niekorzystnie. Jednak znaczne zmiejszenie ciężarów przemawiało za utrzymaniem się przy Tatarach. Tatarzy brali daninę w pszenicy i prosie, książęta w srebrze. Przytem wybierane przez książąt sumy były znaczne: książę smoleński z terytoryum swego niezbyt wielkiego ściąga rocznie 3000 grzywien samej dani, nie licząc dochodów sądowych i innych.

Nadto pozostanie przy nowych władcach było niemal równoznacznem z samorządem gminnym. Tatarzy życia wewnętrznego nie krępowali, baskakowie ich byli tylko urzędnikami fiskalnymi. W wysuniętej na północ ziemi kurskiej pod ochroną tatarską założyły się „słobody“ dochodzące kilku tysięcy ludności, pomyślnie rozwijające się pod względem przemysłowym, a bardzo niemiłe dla książąt. Książę lipiecki Świętosław wyruszł wreszcie na nie i rozbił je bez oporu. Widocznie żyli tam ludzie spokojni, nie wojowniczy, skoro tak łatwo ulegli.

Podole w wieku XIV. jeszcze podlegało rządom tatarskim. I to jarzmo nie ciężyło. Nigdzie nie znalazłeś warowni, zresztą wsiami i miastami zarządzali „atamanowie“, wybierani według wszelkiego prawdopodobieństwa przez gminę. Poborcy danin nie żyli w osadach ruskich, przyjeżdżali do nich raz w rok.

Ruch dążący do wyzwolenia, podniósł się na brzegach obszarów książęcych. Pierwszy objaw jego w r. 1232. Królewicz węgierski Andrzej ruszył przeciw Daniłowi halickiemu na Wołyń. Wyprawa nie powiodła się. Obok Węgrów i księcia bełzkiego ciągnęli „książęta Bołochowscy“.

Przez jakie 20 lat „książęta“ ci walczą z energicznym Daniłem. W r. 1235 Daniła wypędzono z Kijowa, bojarzy haliccy zmusili go do ucieczki z Halicza. Na ziemie jego wołyńskie napadają Bołochowcy. W r, 1242 i 3 przyszedłszy do sił po pogromie tatarskim, książę halicki ruszył przeciw Bołochowcom, zdobył ich miasta Drzewicz, Gubin, Grodziec i trzy inne i spustoszył całą ziemię ogniem i mieczem. „Wielką bowiem nadzieję pokładali w Tatarach“. Mimo to po kilku latach buntownicza dzielnica podniosła się: w r. 1255 znowu „wojowali ludzie Daniłowi i Wasilkowi Bołochów“.

Odtąd giną wiadomości o Bołochowcach.

Gdyby kronikarz raz przynajmniej wymienił imiona tych „książąt“, możnaby walki ich wziąść ostatecznie za szereg zatargów feodalnych z sąsiadem. Niestety nigdzie imion nie spotykamy. Wszędzie figurują pod nazwą ogólną: „kniaźy“. Zawsze mowa o ich zbiorowości, żaden nie występuje oddzielnie. Poddając się Tatarom, działają w duchu wprost przeciwnym do innych książąt. Co więcej, jak wykazały badania archeologiczne, ziemia, którą zajmowali Bołochowcy nie rozciągała się na wielką przestrzeń, (według Daszkiewicza i Serhijenki, wybrzeża górnego Słuczu), a kiedy w pierwszej połowie XIII. wieku wpadli na Mazowsze i dostali się do niewoli Bolesława, ten wypuścił ich za podarki Daniła. Uważał ich zatem za jego poddanych, co z tytułem ich i ilością nie zupełnie się zgadza.

Prawdopodobnie latopisiec znalazł się w położeniu podróżników wieku zeszłego; nawet bieżącego wobec ludów pierwotnych. Watażków o siłach bardzo małych, naczelników rodów ochrzcili królami, księciami. Bałochowcy żyli blisko Prypeci, rzeki, nad którą niegdyś Derewlanie zabili księcia Igora, gdy zanadto, ich wysysał daninami; tradycye dawne i ustrój przetrwały wśród nich dłużej. Gminy wybijając się na wolność, lub odpierając najezdnika łączyły się w związek, głowom wsi albo wodzom oddziałów przypadł tytuł książęcy.

Ponieważ Tatarzy samorządu ich nie niszczyli, przymknęli ku nim.

Po napadzie z r. 1239 inne ziemie podniosły czoło przeciw księciom. Najpierw Zwiahel miasto nad środkowym Słuczem, teraźniejszy Nowogród wołyński. Daniło umówiwszy się z bratem i synem wysłał wojowników „na Tatary“. Na miasta podległe najeźdźcom. Ale Zwiahel nie okazał chęci poddania się rodakom. „Zwiahlanie widząc niewiele wojska z księciem, śmiali się z murów“. Oblęgającym przybyły posiłki miasto poddało się, mimo to zostało spalone, ludzie rozdzieleni między syna i brata króla.

Gdy Daniło uciekał przed Tatarami do Polski, stanął u wrót Drohiczyna, (zachodni brzeg Bugu). Mieszczanie nie wpuścili go do wnętrza, „To mój gród“, mówił książę. „Nie broniłeś go“, odpowiedziano.

„Bóg dopomógł potem Daniłowi i wziął ów gród dzidą i wzniósł zato wspaniałą cerkiew Najświętszej Pannie“.

Na krawędzi południowej podobny opór stawiło miasto Bakota. Dzieje się to już w r. 1253, po koronacyi Daniła na króla. Daniło walczy z Litwą, wtedy Bakota przechodzi na stronę tatarską. Musi tatarski królewicz Lew przywrócić ją do posłuszeństwa.

Są to wiadomości luźne, zestawił je jednak Serhijenko i oświetlił bardzo udatnie. Zastanawia się potem nad dziejami ziemi za Horyniem, prawdopodobnie granicą kraju Daniłowego. Tam rządzili już Tatarzy. Lecz z zupełnego braku wzmianek o jakichkolwiek książętach nad Kijowem, Perejasławiem wynika. że lud rządził się samodzielnie, rozdrobiony na grupy i opłacający tylko daninę. Genueńczyk Plano Carpini w opisie swoim podróży przez tę krainę mówi, że Kaniów „pod tatarami był bezpośrednio“. Nic nie upoważnia nas do przedstawienia sobie rządów tatarskich innymi, jak później na Podolu. Jak byłyby ułożyły się warunki, gdyby Tatarzy nie zostali wyparci z Rusi, trudno odpowiedzieć. Każdy fakt dziejowy jest wynikiem bardzo złożonych czynników.

Bądź co bądź duch wolny narodu ukraińskiego nie zginął i w dwa, trzy stulecia potem ujawnił się w Siczy zaporoskiej.

*Paryż.* *Włodzimierz Bugiel.*

# Przepaść

(Nowela).

Jak doskonałemu szermierzowi nie wystarcza już sama pewność, że każdy cios odbije, ale lubi on się odsłonić i kiedy pałasz przeciwnika już go prawie dosięga, dopiero wówczas olśniewająco zręcznym ruchem odbija, szukając satysfakcyi nie w tem, że się w ogóle nie dał uderzyć, ale w tem, że mógł bez obawy do ostatecznych granic narazić: tak jej nie wystarczała pewność, że nie ulegnie, ale lubiła do ostatecznych granic posuwać rzeczy, z tem przeświadczeniem, że bez obawy czynić to może. Com czuł dla niej i do jakiego stopnia - wiedziała; im mniej się kryłem, narażała się tem więcej. Graliśmy „w odkryte karty“, jak mówiła: ja nie taiłem, czego pragnę; ona nie taiła, że gra tak ją poprostu roznamiętnia, jak rzucanie złota na zielone stoły w Monaco. Naturalnie nie było tu mowy nawet o jakichś z jej strony pobudkach moralnych, o jakichś zasadach etycznych, religijnych dogmatach: gdyby tak było, byłaby przecież unikała mnie, zamiast mnie szukać, zapobiegała nadarzającym się sposobnościom, zamiast je wymyślać. Było to wchodzenie do klatki z tygrysem pogromcy, który wie, że jeżeli jeden muskuł mu zadrży: zginie, lecz który czuje, że może być siebie pewnym i wchodzi do klatki z uśmiechem; było to rzucanie zapalonemi pochodniami kuglarza, odzianego w gazy i muśliny, który wie, ze jeden ruch mniej zręczny, a stanie cały w płomieniach, lecz który również czuje, że może sobie ufać i rzuca pochodnie coraz wyżej — z uśmiechem.

Wydana za mąż prawie dzieckiem, za człowieka, który po kilku miesiącach pożycia przestał o nią dbać zupełnie, zajęty budową jakichś dalekich kolei, zbieraniem piór stalowych wszelakich gatunków i sprowadzaniem z drogi cnoty angielek, bo to była jego specyalność — zawiele mając w sobie temperamentu, aby jej trzyletnia córeczka zapełniła życie, wynalazła sobie „sport“, jak mówiła, który jej najwięcej odpowiadał.

— Możesz pan być pewny — mówiła, grając „w odkryte karty“ — że granicy nie przekroczę: mój sport straciłby wtenczas cały urok. Nie przekroczę granicy tem więcej, że mnie naprawdę nic do takiego kroku nie ciągnie . Jestem — polką. A nadto — tam jest przepaść...

— Ale jeżeli ja niezechcę dłużej służyć pani za narzędzie do drażnienia chorobliwej imaginacyi jej, jeżeli nie zechcę dłużej być słomką, którą sie człowiek z nudów w nos łechta?

Najprzód zechcesz pan — odpowiedziała mi z uśmiechem — a potem takich słomek znajdę wszędzie tyle, ile ich tylko zapragnę! My, kobiety, moglibyśmy z was słomianki do każdego pokoju w Watykanie wypleść a tych pokojów jest...

— Wiem jedenaście tysięcy,

— Tak, jedenaście tysięcy. Patrz pan zresztą, czy nie mogę być pewną, że mi słomek nie zbraknie?...

I pełnym subtelnej a wyzywającej kokieteryi ruchem, zrzuciła z ramion swój lekki szal perski, po babce, czy prababce odziedziczony, w którym lubiła chodzić, bo było jej w nim prześlicznie; nie, ta kobieta może być pewną ze jej nie zbraknie słomek — pomyślałem, ona zaś mówiła dalej:

— Każdy z was, choćby niemiał cienia nadziei, jeszcze spodziewać się będzie. To już wasza natura. Pan naprzykład spodziewasz się ciągle, wiem o tem.

— Tak, inaczej albobym z mężem pani gdzieś na granicy chińskiej szyny kładł, albo, dla rozmaitości, nawracał na drogę cnoty sprowadzone z niej przez niego angielki ..

Na lato wybrała ustronne miejsce górskie i tam pojechaliśmy we troje: ona, jej córeczka i ja. Miałem udawać jej kuzyna, że tam jednak takich, tylko bliższych „kuzynów“ było nieco więcej, nikt nie zwracał na nas uwagi.

Odbywaliśmy spacery codziennie, coraz dalsze, w coraz większe pustkowia. Ja zawsze z jedną myślą i ona zawsze gotowa posunąć się aż na samą krawędź przepaści, pochylić się w nią i cofnąć„ z rozkosznym dreszczem chwilowego niepokoju“.

Chodziliśmy we dwoje, małą zostawiała ze służącą. Jedno jej spojrzenie wystarczało, aby rzeczy szły tak, jak ona chciała; podobnie wyborny jeździec ledwo znacznym ruchem cugli poddaje swojej woli wierzchowca.

Jednego popołudnia przyszło jej na myśl zabrać ze sobą małą Marynkę.

— Pójdziemy sobie niedaleko — mówiła — jak się Marynka zmęczy, ja ją trochę poniosę, trochę pan. Katarzyny nie wezmę. Posiedzimy ze dwie godziny w lesie i wrócimy na herbatę. Dobrze?

Projekt podobał mi się bardzo, obecność małej wykluczała wszelką „grę“ a byłem już śmiertelnie znużony.

Kiedy weszliśmy w las, zamiast skręcić w lewo, jak się spodziewałem, skręciła w prawo.

— Pani — zauważyłem wówczas — tam jest bardzo wązkie przejście po nad przepaścią...

— Wiem o tem — odparła, śmiejąc się — wiem o tem i właśnie dlatego tam kieruję. Nie trzeba tracić dnia. Dziś nie możemy „grać“, jak zwykle a ja czuję już teraz potrzebę ciągłej gry. Jeżeli nie moralnie, to fizycznie muszę coś pokonywać.

— Pani jesteś chora.

— Być może. W każdym razie taka dobra ta choroba, jak inna.

— Ale z Marynką będzie tam bardzo trudno.

— Tem większa satysfakcya. Możesz pan sobie wyobrazić, jak jestem pewna siebie, skoro tam idę, wiesz pan. jak kocham Marynkę. Ale to uczucie, że moja córka, moja jedyna maleńka córka, będzie o pół kroku od przepaści i że ja ją po nad nią przeprowadzę — sprawi mi rozkosz. Ja muszę ryzykować i wygrywać. Weszło mi to w krew. Czy wiesz pan, com robiła kiedyś, kiedy pana głowa bolała i nie mogłeś mi towarzyszyć? Oto wdrapywałam się na Igłę Magdaleny.

— Ależ to szaleństwo! Rzadko który mężczyzna tam wejść próbuje.

— A widzisz pan, nawet nie pochwaliłam się przed panem. Robiłam to tylko dla siebie, musiałam — grać i wygrać.

— Wdrapała się pani?

— Tak, na sam szczyt.

— Waryatka — szepnąłem sam do siebie.

Prawie milcząc, minęliśmy las i wyszli na wązką ścieżkę, wydeptaną przez owce, na prawo była wapienna turnia, na lewo kilkaset stóp głębokie urwisko, o ścianie porosłej skarłowaciałą świerczyną i najeżonej sterczącemi głazami. W dole huczał potok po głazach.

Tknęło mię jakieś złe przeczucie i mimowoli odezwałem się:

— Pani, wróćmy.

— Boisz się pan? Wszakże przechodziliśmy tędy kilka razy.

— Ale bez małej.

— O, patrz pan — zawołała wówczas i wysunąwszy Marynkę przed siebie, trzymając ją za rękę, postąpiła parę kroków naprzód.

Szedłem tuż za nią.

Wtem jakiś kamyk obrócił się jej pod nogą, zachwiała się i czułem, jak zbladła, bom tego widzieć nie mógł. Ale widocznie, chwytając straconą równowagę, musiała puścić na chwilę rączkę Marynki, gdyż usłyszałem jakiś szalest i krzyk przeraźliwy, literalnie mrożący w żyłach krew, przedarł powietrze! Krzyk ten wydała ona, widząc dziecko toczące się w przepaść.

Jakąś milionową część sekundy staliśmy skamieniali.

Dziewczynka, stoczywszy się a raczej spadłszy jakie dwa sążnie w dół, zaczepiła się sukienką na krzaku i zawisła. Biedactwo tak się przelękło, że nawet krzyczeć nie mogło, Można ją było uratować ale z narażeniem największem samego siebie, byłaby to gra, w której dziewięć na dziesięć było, że się przegra — życie. Zamieniliśmy z matką jedno spojrzenie i ona szepnęła:

— Przysięgam...

Nie było ani chwili czasu do stracenia, gdyż gałąź, na której dziewczynka zawisła, mogła się urwać a wówczas byłaby spadła na sam dół do potoku...

Począłem spuszczać się ku niej.

Jakem schodził — sam dziś niepamiętam. Musiałem nietylko uważać, aby się naprawdę co krok nie oberwać i nie runąć, ale i strzedz się, aby kamienia nie strącić na wiszące podemną dziecko. Piekielna było to droga i wydawała mi się długą, jak wieczność.

A ona stała tam z rozwartemi szeroko oczyma i zdawało mi się, że szepcze ciągle: „Przysięgam, przysięgam.. “

Kilka razy myślałem, że runę w otchłań która mi się wydawała bezdennie głęboką. Po rękach krew mi płynęła: wreszcie dotarłem do krzaka.

Jedną ręką uczepiony chwiejącego się pod naciskiem dłoni i sterczącego z pod ziemi głazu, drugą chwyciłem dziewczynkę i pociągnąłem ku sobie. Doleciał mię krótki, stłumiony krzyk z góry.

Teraz dopiero rozpoczął się przechodzący wszelkie pojęcie trud powrotu, z jedną tylko ręką swobodną i z żywym ciężarem w drugiej. Chyba mało sto razy traciłem nadzieję wydrapania się na ścieżkę. A w chwilach wolnych od wrodzonej każdemu trwogi śmierci, myślałem — czy mam skorzystać z przysięgi tej kobiety?.. Czy to będzie podłość?. Czy tylko należna mi chyba zapłata?.. Wszak jej zresztą nie zmuszałem, nie żądałem od niej obietnicy takiej nagrody, byłbym poszedł i tak, wiedziała o tem, znała mnie dostatecznie.

Spojrzałem na nią wówczas nie z zamiarem, ani nadzieją wyczytania w jej oczach tego, com wyczytał — chciałem tam zobaczyć tylko wdzięczność, tylko coś serdecznego. Ofiarowała się sama, więc czy to będzie podle?..

Refleksye te przechodziły mi przez głowę jak błyskawice. I być może, że zahypnotyzowany przez nie, temu głównie zawdzięczam, żem sam wydarł się poprostu z paszczy przepaści i wydarł z niej Marynkę.

Rzuciła się na dziecko, jak szalona, chwyciła je w objęcia i pędem przebiegła resztę ścieżki, zupełnie nieprzytomna. Kamienie sypały się z pod jej nóg i leciały z głuchym turkotem w przepaść, ona zaś biegła krokiem tak pewnym, jak pewno chodzą lunatycy po rynnach.

Ja szedłem także prędko, chciałem minąć to miejsce, z którego rzeczywiście cudem prawie tylko wyszedłem żywy.

Kiedy się uspokoiła po spazmatycznym płaczu, utuliła szlochającą teraz rozpaczliwie dziewczynkę, napieściła ją i nacieszyła się nią, odwróciła ku mnie zbladłą twarz swoją, z nieotartemi jeszcze łzami, i spojrzała na mnie takiem spojrzeniem, że warto było zań życie oddać. Było w tym uśmiechu tyle czystego, głębokiego uczucia, tyle serca matki...

Ale w tej chwili krew rzuciła się jej do mózgu, przypomniała sobie, co przysięgła. Sponsowiała jej twarz, szyja, nawet część piersi, widna w wycięciu sukni, powlekła się ponsem. Doskonały szermierz uczuł, że się zanadto odsłonił, i że mu trudno przyjdzie cios odbić!

Miałem przecież wszelkie prawo skorzystać z przysięgi, naraziłem dla niej, dla jej dziecka, życie, bez wahania, nie żądając za to nic — ona wiedziała o tem, powinna była wiedzieć bardzo dobrze. I powinna mi to była powiedzieć, żądałem od niej tego zaświadczenia jej samej przed nią samął. Nie wiedziałem jeszcze, co zrobię, ale chciałem na wszelki wypadek mieć ją w ręku. I jakbym milcząc i tylko patrząc na nią, narzuciłem jej myśl moją; jakby zamagnetyzowana, drżąc cała i nie podnosząc oczu, poczęła mówić:

— Ja wiem, wiem, że pan tego nie uczyniłeś dla... mnie, tylko dla... mego dziecka, wiem o tem; wierzę w to, wierzę panu, choć nie żądasz tej wiary odemnie... ale...

Głos jej się złamał, zakryła twarz rękami.

Moje postanowienie było już skrystalizowane: nie!

Najprzód poczucie honoru nie pozwalało mi korzystać z tak przypadkowo nadarzonej sposobności, z takiej chwili. Ona sama mogła nie wiedzieć, co mówi nie pojmować, co przyrzeka, nieprzytomna z obawy o dziecko. To nie byłoby żołnierskie zdobycie fortecy, to byłoby wdarcie się do niej, dzięki temu, że np., cała załoga struła się zakażoną wodą i zasłabłszy śmiertelnie, walczyć nie mogła.

(D. n.)

*Kazimierz Tetmajer*

# WOLNE MYŚLI.

(Fejleton).

Na okres drugiej połowy bieżącego miesiąca, począwszy od dnia 12. sierpnia, przypada najpokaźniejsza liczba rozmaitych wycieczek do Lwowa. To też komitet, którego członkowie mają pełnić obowiązki uprzejmych i dobrych gospodarzy, ogłoszony został jako nieustający. Zarządzenie to bardzo odpowiednie, członkowie komitetu bowiem nabiorą wprawy, ażeby spełnić niełatwe zadanie uprzyjemniania pobytu wielu bardzo mile witanym rodakom z różnych stron odleglejszych.

Uczuciem szczerego braterstwa witaliśmy Szlązaków, tych kresowców Zachodu, którzy czują i mó-

wią to otwarcie, że na nas, jako najbliższych im, spoczywa obowiązek podawania im dłoni pomocnej w dziele przechowania najdroższej spuścizny po Ojcach, języka ojczystego. Że goście z Zachodu opuszczać będą Lwów pokrzepieni na duchu, o tem nie wątpimy. Że jednak odjeżdżać będą i z utajonym żalem w sercu, to także prawda. Widząc bowiem owoce pracy naszej, mimowoli pomyślą, iż bracia rodzeni, doszedłszy już do tego stopnia rozwoju i siły, jakich obraz zobaczyli na Wystawie — mogliby coś z tej siły i wpływów swoich użyczyć Szlązakom, ażeby legalna walka o byt w duchu ojczystym stać się mogła lżejszą.

Jednocześnie przypadają i odwiedziny Wystawy przez rodaków naszych z Węgier, a z nimi wspólnie i samych Węgrów. Rodaków nie potrzebujemy zapewniać o niewygasłej dla nich pamięci — Węgrzy, jako goście nie znaleźli przyczyny, by podnieść zarzut braku gościnności.

Ale poza wyrazem uprzejmości, ktory zresztą jest znamieniem charakteru wszystkich Polaków i wszystkich Słowian, nie możemy dopatrzyć innych węzłów, któreby nas kojarzyć mogły silniej z Węgrami. Jeżeli są jakie punkta styczne, albo raczej, jeśli były jakie, to odzywają się one tylko jako echa minionej i niczem ze strony węgierskiej niepodtrzymanej tradycyi. Ale w tej tradycyi bywało więcej ofiarności ze strony Polski, której się Węgrzy odpłacili skąpo lub zgoła nawet nie starali o to, ażeby okazać, że ofiary polityczne pamiętają. Nasz Warneńczyk był ofiarą polityki egoistycznej, później rozliczne pretensye nieuzasadnione do tak zwanej ziemi Halickiej, stwarzały niejedną trudność, a już sławny odwrót Jana Sobieskiego z pod Wiednia przez Węgry mógł był wytrzeźwić z sympatyi, branej na seryo. Ale dobroduszność słowiańska podtrzymywała zawsze to, co sercu jej było najmilsze, dobroduszność ta widziała wszędzie raczej przyjaciół, niż egoistów.

Szły tak lata i wypadki, a przez nie, jak nić czerwona, snują się ofiary nasze dla narodu, który ofiary polskie biorąc, dawał za to puste frazesa przyjaźni i braterstwa. Kończy to się na oświadczeniach przy szklance węgrzyna. Nie sądzimy, żeby dziś ktokolwiek, liczący się z rzeczywistością, przyjmował za dobrą monetę znane przysłowie: „Węgier, Polak — dwa bratanki" itd. Zapewne, że do szabli i do szklanki były te narody równomierne, ale do braterstwa o tyle jeno, o ile Polak szedł w usługi ofiarnie, a Węgier przyjmować je raczył.

Tam za Karpatami widzimy politykę bezwzględności w obec tych, którzy nam są blizsi krwią, językiem i obyczajami, niż plemię Arpada. Na spiżu mamy już nie spokrewnione plemię, ale niemal rodaków naszych, ale i oni ugiąć musieli głowy przed polityką, która niweluje podobnie, jak germanizm na Zachodzie. Madiaryzowanie plemion słowiańskich odbywa się bez ceremonii. Tak każe Węgrom ich interes polityczny. Dlaczegobyśmy jedni, dziś wobec zmateryalizowanej Europy, zapominać mieli, co nam nakazuje *nasz interes polityczny?* Jeżeli gdziekolwiek oprócz interesu, znaleść możemy sympatye, i życzliwość — to zaiste prędzej znajdziemy tam gdzie słowo nasze zrozumieją, gdzie cierpienia i radości podzielić są zdolni, a zatem w plemieniu uciskanem. Nie widzimy bowiem różnicy w ucisku, czy wykonywują go ręce Węgrów, czy ręce Niemców.

Nie wykluczało to, jakeśmy nadmienili, uprzejmości dla gości węgierskich. Gościnność obowiązuje. Ale poza obowiązkiem patrzmy trzeźwo w przyszłość, a nad tem, co minęło zastanawiajmy się dłużej, ażeby w chwili uniesienia nie marnować skarbów uczuć niepotrzebnie.

* * *

Wielce zasłużony filantrop, twórca parku dla dzieci, prof. dr. Jordan był w czasie pobytu swego we Lwowie z parkiem dzielnych rękodzielników, przedmiotem gorących owacyj. Cały Lwów niemal pospieszył na boisko wystawowe, by tam podziwiać „Jordanowskie wojsko", tak znakomicie wyćwiczone. Na cześć prof. Jordana urządzili obywatele tutejsi ucztę na wystawie, na którą przybyły pierwsze powagi lekarskie Lwowa, profesorowie Uniwersytetu, radcy szkolni, członkowie dyrekcyi wystawy i dziennikarze (między innymi redakcyę „Czasu" zastępował dr. Tomkowicz.) Brakło tylko całej falangi młodszych lekarzy (z wyjątkiem może dwóch), b. uczniów sz. profesora, którzy nie uznali snać za stosowne przyłączyć się do wyrażenia hołdu czcigodnemu mężowi. O wdzięczności mają widocznie ci panowie trochę zaciemnione pojęcie.

## Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu

### IV.

(O rzeźbach lirnika.)

Wiele się u nas mówiło i dawniej i w ostatnich czasach o rozgoryczeniu poety. Miał się Lenartowicz jakoby zapomnianym czuć, jakoby nie dość cenionym widzieć, miał się jakoby uskarżać na obojętność ogółu cierpko i dotkliwie,

Nie przeczę, iż tak było. Momenty takie przychodziły, musiały przychodzić naten umysł nad miarę wrażliwy. Ale były to tylko momenty. Podstawowy jego nastrój to była pogoda, harmonijne czucie z czuciami owego o zapomnienie pomawianego ogółu i jakiś rodzaj smętnej rezygnacyi, który melancholią swoją pokrywał i łagodził cierpkość dysonansów. „Jestem kowalem własnej doli... Fabez sum..." — ta zwrotka często powtarzana w listach poety, kończy zazwyczaj skargi jego i jego rozżalenia.

A i to pod uwagę wziąć trzeba koniecznie, że odległość powiększa zazwyczaj nieporozumienie, odejmując możność bezpośrednich, natychmiastowych wyjaśnień. W tej perspektywie, jaką tworzyła odległość owa pomiędzy nami a poetą, najmniejsze zaniedbanie wyrastało na złą wolę, najmniejsze zapomnienie na krzywdę. Co mówię. Często nawet mniej do miary zastosowana pochwała, przybierała pozory szyderstwa, ironii, tak dalece wzrok oddalonego zaostrzał się i samem wytężeniem zmęczony w barwach nieistniejących widział stosunki życia.

Do pism warszawskich, że nie pisuję, — pisze Lenartowicz w styczniu 1886 r. — powód najważniejszy omyłki drukarskie, które tak parodjują każde słowo, że to do razpaczy doprowadza — czasem wszakże nie tylko to bywa zecerów winą, ale i złośliwości kolegów szanownych. I tak proszony

przez redakcyą posłałem na nowy rok, naśladowany z greckiego (Homera) wiersz następny:

Oto mieszkanie dobrego człeka.
Pochwalne głosy słychać zdaleka.
Jak się tu stary obyczaj święci
Opowiadają słudzy, klienci,
Niechże w otwarte wrota ubogim
Fortuna wchodzi ze złotym rogiem.
I nie opuszcza pańskich podwoi,
Niech spichrze przednią mąką się bielą
Amfory winem oko weselą,
A żadna w kącie próżna nie stoi.
Młodą synowę za domu progi
Niech zaprząg mułów wytrwałonogi
Niesie za miasto, gdy ta nad niemi
Potrząśnie z lekka lejcy długiemi.
I niech do Chios wiezie z powrotem
Gdzie w Gineceum piękna, szczęśliwa;
To raz purpurą, to drugi złotem,
Igiełką cenną szatę przeszywa.
*I w gronie młodych* siedząca *służek*
Śpiewa i nóżkę stawia toczoną
Na wykładany ambrą podnóżek.

Owoż, co z tego zrobiono, przeczytaj najłaskawiej, a przekonasz się, że korektor widać źle usposobiony dla autora, a sam znający się na miarach wiersza poprawia i zamiast:

I w gronie młodych siedząca służek

drukuje:

I w gronie młodych *siedząc służących*

znaczy: lokai, kamerdynerów, i tp. ma siedzieć owa młoda synowa możnego pana! Jestto parodja obmyślana nie przez zecera! ale skądże taka niechęć i taka złośliwość podawania mnie na pośmiewisko — nie pojmuję! — Ręce opadają i chociaż dźwigam się jak mogę, ani wiem do kogo się zwrócić. Ot, za długo żyję i wyraźnie stałem się zawalidrogą. Czy pracowałem i jak, okaże się kiedyś, a wtedy osądzą, czy zasłużyłem na traktowanie, jakiego od warszawskich współziomków doświadczam. Jednej godziny niestraciłem, a zawsze z myślą zwróconą ku wam; za to dziś odbieram szyderstwa i parodje, lepiej nie mówić“, A oto drugi raz z innej sfery działalności:

„Racz najłaskawiej sprostować wiadomości kroniki Kurjera, co do figurki Brodzińskiego, że o żadnej wystawie takowej w Paryżu nic nie wiem i że jeśli znalazła dobre przyjęcie, to chyba w kółku znajomych współziomki naszej, mieszkającej w Paryżu, właścicielki tej małej robótki (1.) Ja myślę że to także na szyderstwo wiadomość tę Kurjerwyczytawszy coś w Bibliotece warszawskiej przesadnie odmienił. Napisałem ja im ostre słówko i po chłopsku!“

I jeszcze z ostatniego, na tydzień jaki przed śmiercią pisanego listu:

„Do Galicyi wyrwałem się, że pojadę, a ci rozkrzyczeli po gazetach... głupi nie jestem do tyla, żebym nie znał siebie i wagi swojej. Dziwię się więc i podejrzywam i to pisanie o moim przyjeździe jest pewnym rodzajem ironii i doprawdy nie radości, a przykrości doświadczam. Za co, za co, za co? Za książeczkę niebardzo poprawnych wierszów? Nie, to chyba ironia!“

Ale były i inne, bardziej uzasadnione gorycze. Oto urywek listu z r. 87 —„Dla Boga, racz się dowiedzieć, co się stało z moim listem do hr. K.. czy odebrał czy nie odebrał. Interes jest ważny dla mnie, bo idzie o odpowiedź, czy im się podoba moja grupa (Stargane struny lutni), której fotografią przesłałem i czy zgodzi się, ażeby była odformowana w brązie za cenę choćby tylko odlewu. Szkoda byłaby, gdyby się zmarnowała, a zmarnieje, gdy stąd, na co się zanosi, wyjadę: nic mi się nie wiedzie i każda przędza rwie się w ręku, — tyle pracowałem...

(1) Panny Julii Jabłonowskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*Marya Konopnicka.*

# Ze stołu redakcyjnego.

*Świat fejletonowy przez Kazimierza Ehrenberga.* Krakow, r. 1894. Piśmiennictwu naszemu przybywa nowa beletrystyczna siła. Młody literat krakowski, p. Kazimierz Ehrenberg, wydał przed kilku tygodniami pierwszą, o ile nam wiadomo, większą pracę swoją, trzymającą środek pomiędzy felietonem a powieścią, niesłychanie ciekawą zarówno pomysłem, jak i opracowaniem. Oryginalność polega przedewszystkiem na sposobie pisania wykwintnym, a jednak cokolwiek niedbałym, niejako niedokończonym, jak gdyby autor, na równi ze swoim bohaterem-literatem Sielnickim, był także — znużoną duszą, która ucieka w jakieś nieznane krainy od kłopotów, drobnostek i nużącej gorączkowości „Świata felietonowego“, jak nazywa, całą gromadkę dziennikarzy, aferzystów i wogóle indywiduów, żyjących bez planu, z dnia na dzień, dla przyjemności i użycia. Temat również niemniej jest ciekawy i niezwykły, nietyle w głównych zarysach fabuły, wogóle na drugi plan zepchniętej, ile raczej w sposobie traktowania osób, uczuć i sytuacyi. Literat i felietonista Paweł Sielnicki, człowiek wykształcony, zdolny, ceniony i lubiany, młody i zdrów, a jednak pełen zniechęcenia, znużenia i nieokreślonej goryczy względem otaczającego świata i ludzi, to doskonały typ dekadenta *fin de siècle*, jakich przerafinowana cywilizacya ostatnich czasów, zbyteczny wysiłek umysłowy, a wreszcie brak równowagi duchowej, wytwarza, niestety, już i w szeregach naszego społeczeństwa. Dla chwilowego kaprysu porzuca on redakcyę, miasto, przyjaciół, jak mu się zdaje, na wieki, i w towarzystwie tylko jakiejś kelnerki Kitty, która mu się nawet nie podoba, osiada w głębi leśnej i wiejskiej głuszy. W dzisiejszych atoli czasach przeludnienia, rola pustelnika staje się trudną, to też i w tym zapadłym kącie znajduje się piękna córka miejscowego doktora, której głębokie a proste zasady, zupełna harmonia duchowa, wydają się Pawłowi czemś tak ponętnie nowem, kojącem i uroczem, że nietylko odprawia Kitty, przestaje lekceważyć ród niewieści, ale sam pragnie się zaprządz w słodkie jarzmo małżeńskie. Ale kto zbyt przywykł do szampana, temu chwilowo tylko smakować może czysta woda kryniczna; to też p. Ehrenberg okazał dużo talentu i obserwacyi, oddając w samych półtonach zawiły proces psychiczny, jaki rozrywa się w duszy dziwacznego mizantropa. Miłość, staranie się, obraz przyszłego cichego szczęścia, nuży go, zanim jeszcze osiągnąć je zdoła; to też odmowną odpowiedź pięknej Ireny, przyjmuje Paweł niemal z westchnieniem ulgi, poczem, idąc za namową przyjaciela, powraca do piekiełka

dziennikarskiego, przetrawiającego dusze i mózgi. Jako powieści, możnaby wytknąć „Swiatu felietonowemu“ wiele usterek, a nadewszystko nieproporcyonalność pomiędzy założeniem a dalszym ciągiem utworu, wysunięcie na pierwszy plan figur, o których następnie wcale się już nie wspomina i t. p. my jednak opieramy raczej ocenę tego obrazka na wielkiem bogactwie oryginalnych a głębokich refleksyi, nadzwyczaj delikatnym rysunku osób i sytuacyi, a wreszcie na prześlicznych ustępach opisowych, w których pióro autorskie zamienia się w paletę o tysiącach barw i odcieni. Utwór p. Ehrenberga nosi na sobie wybitne cechy wpływów szkoły francuskiej: nie rzadko również odnaleść się daje oddziaływanie autora „Bez dogmatu“ na wrażliwą duszę młodego pisarza. N.

* *
*

*** Utalentowany poeta K. Tetmajer wydał drugi tom swych poezyj. O utworach tych zamieścił p. K. E. w „Czasie“ dwa fejletony, z których kilka ustępów pozwalamy sobie przytoczyć: „Poezye Tetmajera przenika szum tego halnego wiatru, co otarty o orle skrzydła i o limby schylone nad urwiskiem, przelatywał ponad kołyską poety: przenika ją i ten „szał tęsknot do orlej swobody“ i „ta zaduma limb, co się — ciszą wielką objęte — w pustce kołyszą“; jest w niej senność letnich wieczorów i kołysanie się szmeru cichych i dalekich rzek; jest pożar słońca, ocean róż, płomienny zachwyt zmysłów; jest wielka żałoba smutku i wielka duma serca; jest wreszcie uwielbienie i kult tajemniczości i nieskończoności morza, jakiegoś morza snów, marzeń, fantazyi.

W tym swoim fantastycznym, na pół mistycznym oceanie kocha się poeta stokroć bardziej, niż w swoich Ledach i Beatryczach.“

Następnie zaznaczywszy, że p. T. jest wybitnym przedstawicielem młodego pokolenia w literaturze, krytyk pisze dalej: „Nie o wszystkiem mieliśmy sposobność wspomnieć, co w tomie p. Tetmajera odznacza się rzadką pięknością poetyczną. Żeby już skończyć, wymieńmy pokrótce co najgłówniejsze. Wiersz „Nowy rok“ (w „Myśli“ drukowany), jest znakomity stylem i wysłowieniem: szkoda nawet, że gdzieindziej nie zawsze spotyka się u p. Tetmajera równie wspaniały i równie staranny, równie jednolity tok wiersza. Dwa ustępy z „Exodus“, mogłyby stanowić ozdobę „Melodyj biblijnych“ Ujejskiego: przeładowanie obrazów jest umyślne, efektowne i wyborne. „Evviva l'arte“ powinno się stać ulubioną i tradycyjnie przekazywaną pieśnią. „List Hanusi“ w przepysznych oktawach dyalektem górali tatrzańskich jest żartem i wybrykiem, na jaki pozwolić sobie może tylko wyjątkowo pewny siebie talent. W dytyrambie na cześć Mickiewicza znać natchnienie rzeczywiste i silne, czego nie można powiedzieć o niepoślednich zresztą kantatach, uwieńczonych swojego czasu na konkursie. Zamyślenia wreszcie i Preludya niewyczerpane stanowią kopalnie skarbów bardzo szlachetnej poezyi, zwłaszcza zaś Zamyślenia, bo w Preludya wkradło się niejedno, coby można było bez szkody i bez żalu opuścić“.

* * *

*Książki nadesłane:*

Juliusz Giżowski: „Rodzina wyklętych“ 1894 Lwów. Jakubowski i Zadurowicz.

St. Schnür-Pepłowski: „Teatr polski w Galicyi wschodniej (1894).

Rozwój partyi socyalistycznej przez Żegotę.

# Od wydawnictwa.

Na podstawie układu z wydawnictwem „Żniwa“ powieściowego prenumeratorowie nasi mogą otrzymywać „Myśl“ i „Żniwo“ wraz z powieścią Zoli: **Lourdes** za 1 złr. miesięcznie.

---

L. 15748.

## W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

Ck. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489 i 493 p. k. i §. 37 u. pr., że treść artykułu umieszczonego w Nr. czasopisma „Myśl“ z dnia 1. sierpnia 1894 pod napisem: „Męczennikom cześć“, zawiera znamiona występku z §. 305, zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez ck. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu a zabrany nakład ma być zniszczony.

**Powody**: Treścią artykułu inkriminowanego zachwala autor czyny ustawami zakazane, co zawiera znamiona występku z §. 305 uk. zarządzona zatem przez ck. Prokuratoryę Państwa konfiskata tego czasopisma jest usprawiedliwioną.

Lwów, dnia 9. sierpnia 1894.

# KRONIKA.

*** † *Włodzimierz Wysocki*, jeden z ostatnich epigonów polsko-ukraińskiej szkoły literackiej, twórca „Nowych dziadów“ „Oksany“ i „Laszki“, człowiek wielkiego talentu, zmarł 12. bm. w Kijowie.

*** Piotr Mascagni pisze nową operę: „Serafino d'Albiano. Powtarzamy to na wiarę dzienników włoskich, które jak wiadomo, co chwila nowe dyktują dzieło swemu ulubieńcowi, który nie jest w stanie i połowy tych życzliwych zapowiedzi urzeczywistnieć. O „Serafinie Albańskim“ donoszą, że libretto zaczerpnęło treść z romansu Nicola Micasa: „Kapłan i szlachcic“.

*** Verdi powrócił do Genui i zabrał się do pracy, a odłożywszy na bok rozpoczętego „Lear'a“, podjął dzieło głębsze jeszcze nastrojem. Ma to być opera 4 aktowa „Ugolino“, wykrojona z dantejskiego „Piekła“. Mistrz prowadzi szczegółowe studya, obejmujące zarówno literaturę tego poematu, jak i wszystkie istniejące do niej illustracye muzyczne. Ponieważ Vinzezo Gulilei dorobił tę muzykę, przeto Verdi w liście do przyjaciela swego prof. Fedeli prosi go o wydostanie rękopisu Gulilea.

*** *Rzeźbiarz Marqueste*, uczeń Falquiere'a i Joufroy, został wybrany na członka Akademii sztuk pięknych na miejsce opróżnione przez śmierć Caveliere'a. Głównemi dziełami dłuta Marqueste'a są: *Perseusz i Gorgona*, *Welleda*, *Zuzanna*, *Galatea*, *Sztuka i Fortuna*, oraz *Geografia*, zdobiąca fronton nowego gmachu Sorbony.

*** *Połączone* pomniki Beethoven'a, Haydn'a i Mozart'a, mają stanąć w Berlinie. Kosztorys pamiątkowego mauzoleum wynosi 60,000 marek, z tych połowę zebrano już; na resztę złożyć się ma szereg koncertów. Pośród licznych projektów drogą konkursu sądzonych, wybór padł na pomysł Hildebrandtsa. Wyobraża on rodzaj rotundy, przypominającej świątynię przyjaźni w Saksoni. Prawdopodobnie rzeźba stanie w ogrodzie „Thiergarten“.

*** P. Tadeusz Rybkowski, utalentowany artysta-malarz, nasz współpracownik, mianowany został rzeczyw. profesorem przy szkole przemysłowej.

*** W lipcowym zeszycie *Nord und Süd* ukazały się Szkice Al. Swiętochowskiego w przekładzie Malwiny Garfein, a bajka grecka tegoż autora pt. „Aste“ ukaże się niebawem we *Freie Bühne.*

*** „Mara“ jednoaktowa opera Humla wystawioną została tydzień temu na scenie skarbkowskiej. Jest to dzieło klasycznej muzyki, w stylu wagnerowskim, pełne siły dramatycznej, skoncentrowanej w orkiestrze, która u nas nie potrafiła stanąć na wysokości zadania. Szersze sprawozdanie z „Mary“ musieliśmy usunąć z numeru, dla braku miejsca. P. Szlafenberg śpiewał znakomicie partyę Eddina, dobrą Marą była p. Strassern. — W „Strasznym dworze“ wystąpiła dwukrotnie p. Korolewiczówna, której rokujemy wielką przyszłość, jako śpiewaczce koloraturowej.

## Nadesłane.

Hotel Warszawski we Lwowie gruntownie odnowiony, zostaje obecnie pod sprężystą administracyą, która dokłada wszelkich starań, aby przy cenach umiarkowanych zadowolnić najwybredniejsze wymagania gości.

# Przemysł na wystawie.

Otrzymujemy następujące uwagi:

Ruch na wystawie i w mieście tętni pełnią życia. Na taki upał nie sposób obciążać mantelzaka po drożnego frazesami; chowając je na wrzesień — wprost, bez omówień dążymy do celu. W grupie XXXI ekspozycyi naszej zatrzymujemy się przed wyrobami **Spółki stolarzy lwowskich**, istniejącej od 1854 roku, nagrodzonej już raz medalem srebrnym. Przedstawiają się one okazale i ściągają równie liczną publiczność, jak i prawdziwych znawców, oceniających pomysły i pracę „zjednoczonych rękodzielników“ bardzo pochlebnie. — Dalej spotykamy się z pierwszorzędną firmą: *pierwszą fabryką krajową* wyrobów platerowanych, z chińskiego srebra i innych metali pp. **Jakubowskiego i Jarry**. Zwróciła ona na siebie uwagę Arcyksięcia *Karola Ludwika*, który wystawione przedmioty oglądał z wielkiem zajęciem, wypytywał o ich cel i znaczenie, i oświadczył, że zasługują zupełnie na gorące poparcie, łączą bowiem wytworność kształtów z dokładnością wykonania. Prace te są równie ładne jak praktyczne a względnie do dobrych tego rodzaju wyrobów zagranicznych o wiele tańsze. Wędrujemy dalej. Zatrzymują nas *instrumenta muzyczne*, uskutecznione w pierwszej i jedynej fabryce krajowej p. **J. Kapralika** we Lwowie przy ulicy Skarbkowskiej położonej. Są one — wszystkie — dziełem niezmiernie sumiennej i inteligentnej pracy. Oglądaliśmy je z prawdziwą przyjemnością, notując w pamięci, że i w tym dziale przemysłu kroczymy po drodze postępu. Istotnie, instrumenta, pochodzące z fabryki p. Kapralika, śmiało rywalizować mogą z zagranicznemi. Skład mebli własnego wyrobu p. **Ludwika Matiaszeka** (instniejący we Lwowie przy ulicy Gródeckiej l. 41) wystawił w pawilonie przemysłowym dwie szafy dębowe, wykładane drzewem różowym, jaworem amerykańskim, mahoniem i palisandrem, przepysznej roboty. Cena tych dwóch szaf wysoka, bo dosięga 2,000 złr., ale wyrób jest tak piękny i doskonały, że zasługuje na bezwzględną pochwałę. — Doprawdy, niewiadomo, gdzie oczy zwrócić, bo nieustannie pociąga je ku sobie coś istotnie ładnego i interesującego. Ot np. w ślicznej gablocie, pochodzącej z zasłużonej fabryki braci Wczelaków, cała serya przedziwnych krawieckich wyrobów p. **Franciszka Kordysa**. Zachwyca nas prześliczna delja polska z białego sukna, obramowana syberyjskiemi lisami niebieskiemi, bogato szamerowana, podszyta białym jedwabnym atłasem, spięta klamrą w stylu XV wieku. Nie wątpimy, że nabędzie ją jeden z naszych młodych magnatów. Dalej spostrzegamy wspaniały żupan z liońskiego aksamitu, koloru karmazynowego, ze złocistemi guzami, atłasem jedwabnym podszyty. Spojrzmy dalej na motory gazowe i naftowe fabryki drezdeńskiej **Maurycego Hille**, którą na expozycyi naszej reprezentuje p. *Julian Topolnicki.* Fabryka ta posiada filialne składy: w Berlinie, Lipsku, Wrocławiu, Monachium, Stutgarcie, Cassel i Karlsruhe, a motory jej na wszechświatowomiędzynarodowych popisach zdobyły sobie ogólne uznanie i najwyższe nagrody. Dobrze przedstawiają się „patentowane młocarnie przewozowe“ p. **J. Wychery** (Lwów, ul. Grodecka, 47). Wszystkie wyroby wymienionej fabryki posiadają pierwszorzędne zalety, w szerokich kołach odbiorców a wysoko cenione. W handlu korzennym p. **Karola Niedzwieckiego** naprzeciw gmachu pocztowego pokrzepiamy się wybornem exportowem piwem okocimskiem, nabieramy nowych sił do dalszej peregrynacyi po expozycyi i mieście. — Wstąpmy do księgarni p. **J. P. Pordesa**. która dla przybywających z prowincyi obniżyła ceny wielu swych wydawnictw. Tu zaopatrujemy się w świeżo wydany przewodnik wystawowy D-ra Zippera.... i dalej w drogę. — Przed wzgórzem stryjskiem oko nasze mimowiednie zwraca się na budę wcale pokaźną, noszącą nazwę „Wielkiego Anatomicznego Muzeum.“ Otworzył je p. **T. Patek** i wcale gustownie urządził. Zajrzyjmy do pawilonu sanitarnego. Bandaże, pasy brzuszne, gorsety ortopedyczne i t. p. wystawiła znana i zasłużona firma p. **Rudolfa Manna**, egzystująca od 1864 roku, zdobywająca sobie ciągłe uznanie i odznaczona na ekspozycyach krajowych i międzynarodowych licznemi medalami. — Zwracają także na siebie uwagę kompletne urządzenia meblowe, oraz wszelkie wyroby stolarskie fabryki **Marcina Prugara i Syna**, założonej w roku 1854, cieszącej się powszechnem uznaniem i pierwszorzędnemi nagrodami otrzymanemi na ekspozycyach galicyjskich. — Tu znowu zatrzymują nas piękne dzieła wykonane w pierwszej parowej fabryce krajowej wyrobów z labradoru, granitu i marmuru **Juliana Markowskiego**. posiadającej jedną pracownię we Lwowie, drugą w Stanisławowie, i wykonywującej z różnych twardych materyałów tak grobowce jak i figury treści religijnej, alegorycznej i mitologicznej, służące od ozdoby mieszkań i ogrodów. — Koszykarstwo, które u nas w niektórych okolicach bywało dotąd tylko przemysłem domowym, albo uprawianym w specyalnych szkołach zawodowych, reprezentowane tu jest piękne przez p. **Aleksandra Koniewicza**, posiadającego pierwszą fabrykę koszykarską, tudzież mebli bambusowych we Lwowie, przy ulicy Piekarskiej. Wózki jego dla dzieci słynną ze staranności wykończenia i trwałości. Kto chce dzieciom sprawić istotną przyjemność, niech się zaopatrzy w zabawki w magazynie pp. **Kauczyńskiego i Oberskiego**. którzy posiadają ich wybór olbrzymi odpowiedni dla chłopczyków i dziewczynek, zwłaszcza, że w składzie tym każdy towar odznacza się dobrocią i niezwykłą taniością. — Że kierunek artystyczny w przemyśle naszym przeważa, najlepszym tego dowodem fabryka wyrobów z bronzu p. **Franciszka J. Stupnickiego** w Przemyślu, pięknie reprezentowana na wystawie naszej wyrobami ze złota srebra, chińskiego srebra i bronzu, za-

dawalającemi najsurowsze wymagania dobrego smaku. — Pierwsza galicyjska fabryka korków katalońskich p. **L. J. Malewskiego** poleca swoje pozornie drobne wyroby, a jednak jakaż tu rozmaitość produkcyi i jak sumienne wykończenie. Spostrzegamy tu korki do butelek i flaszek, koła do mielenia jagieł, koreczki do trzewiczków i bucików damskich i. t. p. — Znakomitemi nazwać można śmiało wyroby *lwowskiej fabryki asfaltu* i ulepszonych ogniotrwałych tektur do krycia dachów p. **S. Szeligi-Łyszkiewicza**, inżyniera. W okazach jego fabrykacyi widzimy niezwykłą doskonałość wykonania, która tak słusznie zdobyła dla zakładu ogólne wysokie uznanie. *Węgiel kamienny* i *koks* szląski, w najlepszym gatunku, którego do wszystkich maszyn i kotłów parowych na wzgórzu stryjskiem dostarcza biuro pierwszorzędnych kopalń galicyjskich i zagranicznych p. **H. Dattnera**. — Od węgli do piecy kaflowych nie potrzeba nawet przeskakiwać, bo jedne obok drugich niemal zawsze w bliskiem znajdują się sąsiedztwie, a tu właśnie oczy nasze zatrzymały bardzo piękne piece kaflowe z fabryki p. **Jana Lewińskiego**, która jest jedyną w naszym kraju, wyrabiającą płyty gipsowe i terrakotowe. Ona to także wykończyła i przyozdobiła mauzoleum Matejki, a przyozdobienia te zwracają uwagą powszechną. — Zatrzymajmy się chwilkę jeszcze przy tak zwanym „pawilonie Flory“, aby odetchnąć wonią kwiatów, pochodzących z zakładu ogrodniczego pp. **M. Wolińskiego i T. Kaczyńskiego**. — Trzeba jeszcze zajść do składu p. **Edmunda Riedla**, przy placu Maryackim l. 10, i nabyć przepysznej herbaty chińskiej, a następnie zajrzeć pod „*Syriusza*“, do handlu p. **Artura Kościckiego**, (ul. Trzeciego Maja l. 2), aby kupić czy kawy najprzedniejszej, czy wybornej czekolady. — W grupie dwudziestej szóstej naszej wystawy znajdujemy wyroby fabryki świec woskowych i blichowania wosku **Fryderyka Szubutha**, istniejącej we Lwowie od 1789 roku jednej z największych w państwie austryackiem. Są tu piękne okazy świec kościelnych ozdobnych, salonowych, wytworne stoczki, woski białe i żółte do woskowania posadzek, massy do zaprawiania podług, pochodnie i. t. p. Są to wyroby krajowe, które w niczem nie ustępują wyrobom zagranicznym. To też fabryka p. Fr. Szubutha już niejednokrotnie na rozmaitych wystawach europejskich otrzymała nagrody w medalach i listach pochwalnych, świadczących o doskonałości jej wyrobów. — O firmie **Juliana Topolnickiego** wspomnieć tu koniecznie należy, reprezentuje ona bowiem na wystawie siedm zakładów i fabryk, o których mówić będziemy następnie szczegółowo tu więc tylko zaznaczamy, że ze wszelkich pełnomocnictw, jakie otrzymuje z wielu stron, wywiązuje się z powszechnie znaną sumiennością. — Któż u nas we Lwowie nie zna przepysznego sklepu p. **Alfreda Dzikowskiego?** Kto nie kupawał u niego doskonałej broni palnej i siecznej, wszelkich przyborów myśliwskich, do konnej jazdy, podróży i szermierki? Czy potrzeba zwracać uwagę, że wszystkie te przedmioty, w najdoskonalszych gatunkach wystawił on także na ekspozycyi naszej i że wszystkie, jak zawsze, przynoszą zaszczyt jego zasłużonej firmie. — Pracownia wyrobów metalowych p. **H. Bogdanowicza** we Lwowie, jest jedyną w tym rodzaju fabryką krajową, istniejącą od 1882 r. Zapewnia ona dostatnie utrzymanie trzydziestu pracownikom; wyrabia przeważnie przedmioty własnego wynalazku, odznaczające się wykonaniem nader starannem i zastosowaniem wielce praktycznem do użytku domowego. O innych mówić będziemy w przeszłych numerach „Myśli“.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Edmund Ostruszka**. Z drukarni E. Ostruszki, Lwów. Sykstuska 10.